BIBLIOTEKA

W numerze:

JERZY WALAWSKI — Wiersze

*

CECYLIA BŁOŃSKA — Metryki... nie dla noworodków

*

OLGA SAMARSKA — Oclepka a nowoczesność

NOWINY TYGODNIA

SOBOTA 2. XI. 1957 r. Nr 41 (385)

DODATEK SPOŁECZNO - KULTURALNY „NOWIN RZESZOWSKICH"

LENIN NA POLSKIEJ ZIEMI

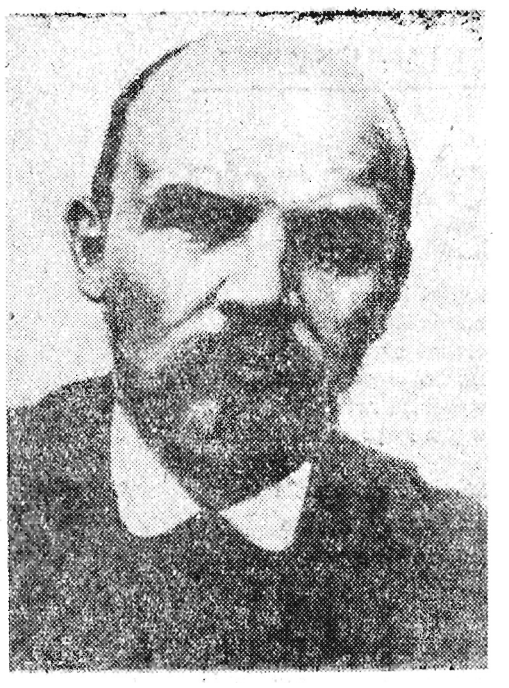

W. Lenin w Zakopanem w 1914 r.
(Zdjęcie archiwalne)

STANISŁAW CZERPAK

(Artykuł napisany dla „Nowin Tygodnia")

UPADEK Rewolucji 1905—1907 r. i szalejący terror w całej Rosji nie złamały rewolucyjnego ducha robotników. Krwawa masakra górników w kopalniach złota nad Leną w 1912 r. była sygnałem do nowych potężnych wystąpień i strajków. Ożywienie ruchu robotniczego i masowe strajki aktywizowały chłopstwo i wciągały go do rewolucyjnej walki.

W chwili, gdy cała Rosja stała się arena potężnego ruchu, konieczne było, aby Lenin, który nie przebywał wówczas w ojczyźnie, był bliżej toczących się walk klasowych, aby nimi bezpośrednio kierować. Do Rosji powrócić nie mógł ze względu na nieuniknione aresztowanie. Wybrał więc Galicję — Kraków, położony blisko granicy austriacko-rosyjskiej. Ludność polska była stosunkowo przychylnie ustosunkowana do rosyjskiej emigracji, gdyż widziała w niej ofiary caratu. Kraków ponadto miał bezpośrednie połączenie kolejowe z Petersburgiem, wskutek czego gazety i listy z Rosji przychodziły tu na drugi, lub na trzeci dzień.

Okoliczności te były dla Lenina niezwykle ważne, one bowiem w dużym stopniu uzależniały całą pracę Biura Zagranicznego KC partii, które obrało Galicję na miejsce swojej pracy i które pozostawało w ścisłym kontakcie z Biurem Krajowym i organizacjami partyjnymi w Rosji.

Do Krakowa Lenin przyjechał z Paryża 2 lipca 1912 roku. Po przyjeździe zamieszkał wraz z żoną Nadieżdą i jej matką Elżbietą Krupską — za doradą krakowskich socjaldemokratów i przy wydatnej pomocy swojego rodaka, S. Bagockiego — w dzielnicy robotniczej zwanej Półwsie Zwierzynieckie. Do chwili obecnej stoi przy ul. Królowej Jadwigi 41 (dawniej Zwierzyniec 218) jednopiętrowy domek, którego mury gościły Lenina. Okoliczni mieszkańcy tej dzielnicy fakt ten znają z opowiadań starszych obywateli i tych, którzy — jak np. drukarz J. Chrostek i nauczycielka S. Kurtz — znali osobiście Lenina i którzy się z nim spotykali. Przyjezdnych zaś, informuje o jego pobycie w tym domu marmurowa tablica.

Żona Lenina w listach do rodziny wielokrotnie wspominała to mieszkanie, jak również Wisię i niedaleki Las Wolski, gdzie Lenin po pracy w towarzystwie polskich przyjaciół i rosyjskich emigrantów często urządzał wycieczki.

Mimo zalet, mieszkanie to było bardzo odległe od dworca kolejowego i poczty. Aby uniknąć codziennych „spacerów" po gazety i listy, a raczej aby na nie nie tracić cennego czasu, postanowiono przenieść się na nowe mieszkanie położone bliżej dworca kolejowego. Wybór padł na dzielnicę Wesoła. We wrześniu 1912 roku spotykamy Lenina już na nowym mieszkaniu — przy ul. Lubomirskiego 49 (obecnie F. Modrzewskiego), a od jesieni 1913 roku zamieszkał on przy ul. Lubomirskiego 51.

Ta ostatnia kwatera składała się z dwóch pokoi i kuchni i była urządzona bardzo skromnie, tak zresztą jak i poprzednie mieszkania Lenina. Proste, niemalowane stoły i żelazne łóżka to podstawowe meble jego krakowskich „apartamentów".

Składając zeznanie na posterunku policji tuż po przyjeździe do Krakowa (przesłuchaniu podlegali wszyscy przyjezdni cudzoziemcy) Lenin powiedział: „Do Galicji przyjechałem chcąc się zapoznać z tutejszymi warunkami agrarnymi... mam zamiar również nauczyć się języka polskiego".

Zagadnienia agrarne Lenina rzeczywiście bardzo interesowały, a wieś galicyjska będąca podobną do rosyjskiej swoją strukturą — była dla niego doskonałym studium, jednak sam cel przyjazdu do Polski był przecież inny i ze względów konspiracyjnych nie mógł zostać podany. Wyraźnie zresztą mówi o tym sam Lenin w liście do M. Gorkiego: „Pytacie w jakim celu przebywam w Austrii (Galicji — S. C.). Komitet Centralny zorganizował tu Biuro (niech pozostanie to między nami), granica blisko, korzystamy z tego, bliżej Pitra...". Tak więc z Leninem do Galicji przeniosło się całe Biuro Zagraniczne KC, by lepiej kierować organizacjami partyjnymi, redakcjami gazet robotniczych i bolszewicka frakcja poselska w Dumie Państwowej (carskim parlamencie).

Stwierdzała to również N. Krupska w swoich wspomnieniach — pisząc, że: „...w Krakowie prawie całkowicie żyliśmy sprawami pracy w kraju". Krakowskie mieszkania Lenina — te skromne „laboratoria" myśli rewolucyjnej były jak gdyby sztabem. Wędrowało stąd dziesiątki artykułów, notatek i wytycznych dla pracy legalnej i nielegalnej. W ciągu 2 lat pobytu Lenina wysłano ich z Polski około 280.

Do Lenina przyjeżdżali posłowie z frakcji robotniczej i liczni działacze partyjni z Rosji po rady i wskazówki. Przyjezdni często mieszkali u niego lub w krakowskich hotelach, czasem aby uniknąć podejrzeń, nocowali u robotników, np. u szewca Sochy, Jaśkiewicza i innych.

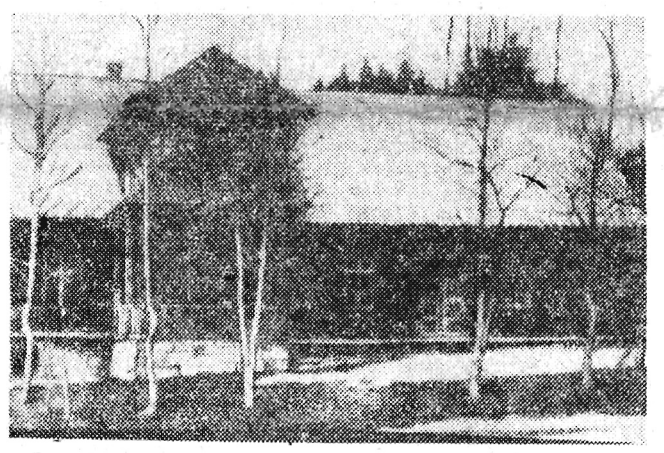

Dom w Białym Dunajcu

Letnie miesiące 1913 i 1914 roku spędził Lenin na Podhalu — w Białym Dunajcu i Poroninie. Zakopane go nie pociągało z powodu znanej drożyzny tamtejszych pensjonatów i dużego skupiska turystycznego, które nie stwarzało dogodnych warunków do pracy i wypoczynku. Wymogi te spełniała natomiast mała góralska wioska z domem T. Skupienia, gdzie Lenin znalazł pomieszczenie dla siebie, chorej żony i jej matki staruszki. Regionalny, góralski domek i piękno górskiego krajobrazu, bardzo Leninowi przypadły do serca, bo w liście do swojej matki pisał: „Miejscowość jest tutaj cudna, powietrze wspaniałe... ludność to polscy chłopi".

W trzech małych góralskich izbach spędzał Lenin swoje codzienne życie, stąd wychodził często z plecakiem i z ciupagą w ręku na ulubione spacery. Podczas tych spacerów nawiązywał przygodne znajomości z błądzącymi po górach „ceprami" i juhasami.

Pobyt Lenina w Polsce nie wypełniały tylko spacery. Na pierwszym planie była zawsze ciężka praca konspiratora i rewolucjonisty. Tym bardziej, że wielu posłów robotniczych potrzebowało pomocy, aby ich wystąpienia były skutecznym orężem w walce parlamentarnej o prawa robotników. Troszcząc się o poziom wystąpień posłów zamierzał nawet Lenin zorganizować w Poroninie szkołę. Zamiar ten jednak upadł z powodu wybuchu wojny światowej w 1914 roku. Obok Dumy dużo uwagi poświęcił Lenin gazecie „Prawda".

Wielkie znaczenie miała zorganizowana w styczniu 1913 roku przez Lenina narada partyjna, zwana „Lutową" lub „Krakowską". Lenin przygotował ją bardzo starannie, a obrady odbywały się w jego mieszkaniu. Czternastu przedstawicieli reprezentowało największe organizacje partyjne w Rosji. Wśród uczestników byli obecni na naradzie posłowie z frakcji bolszewickiej. Część delegatów przybyła legalnie, pozostali nielegalnie — przez zieloną granicę lub za pomocą popularnie zwanych wówczas półpasków (przepustki dla okaziciela). Lenin z narady był bardzo zadowolony. Do M. Gorkiego pisał: „...bardzo się udała i odegra swoją rolę".

Wśród wielu problemów, jakimi się Lenin w okresie swojego pobytu w Polsce zajmował — sprawie chłopskiej i narodowej poświęcił najwięcej uwagi i czasu. Słowa Marksa, że nie ma większego nieszczęścia dla narodu jak podbicie innego narodu, były dla niego zrozumiałe i bliskie (N. Krupska). Ta kwestia zresztą stanowiła centralny problem narady „letniej" w Poroninie w 1913 roku, w której obradach uczestniczyli przedstawiciele SDKPiL. W nawale pracy nie zapomniał bowiem Lenin o polskim ruchu robotniczym. Jego artykuły w polskiej prasie socjaldemokratycznej, wygłaszane odczyty w „Sojuszu" (postępowa organizacja studencka) i na Uniwersytecie Ludowym im. Adama Mickiewicza — zapoznawały polskich robotników z sytuacją w rosyjskim ruchu robotniczym oraz dopomagały im zrozumieć działalność partii bolszewickiej.

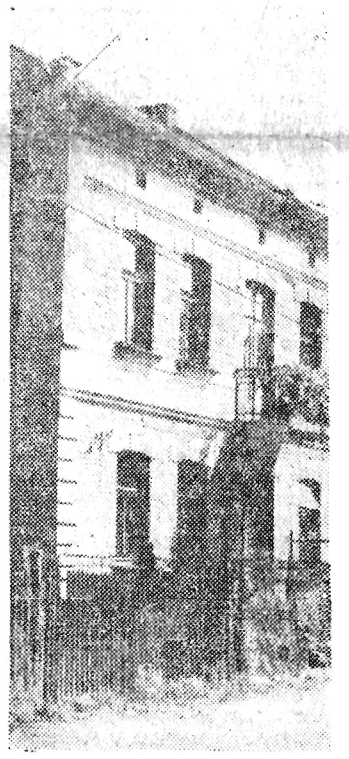

Kraków — ul. Kr. Jadwigi 41

Aresztowanie Lenina w Poroninie w sierpniu w 1914 r. nastąpiło nieoczekiwanie, na podstawie absurdalnego doniesienia, oskarżającego go o... szpiegostwo na korzyść caratu. To bezprawne aresztowanie, oparte na niewiarygodnie bzdurnych podstawach — wywołało falę protestów. W obronie Lenina stanęła postępowa inteligencja polska. Znana jest postawa pisarzy: Orkana, Żeromskiego i Kasprowicza, którzy usilnie domagali się u władz austriackich zwolnienia Lenina. O to samo zabiegał również lekarz z Zakopanego — dr Dłuski oraz tow. Kostrzewa i tow. Warski — późniejsi wybitni działacze KPP.

Pod naciskiem opinii i przy wydatnej pomocy socjalistycznych posłów: Marka, Adlera i Diamanda — Lenin został zwolniony po 11 dniach pobytu w nowotarskim więzieniu. Po otrzymaniu zezwolenia na wyjazd, za ofiarowane pieniądze przez Związek Pomocy Więźniom Politycznym Lenin kupił bilety kolejowe i opuścił ziemie polskie, wyjeżdżając przez Wiedeń do neutralnej Szwajcarii. Tam podjął nieubłaganą agitację przeciwko wojnie imperialistycznej, wskazując proletariatowi wszystkich krajów jedyne wyjście — przekształcenie wojny imperialistycznej w wojnę domową. To hasło rzucone przez Lenina wcieliła w czyn klasa robotnicza Rosji, z Komunistyczną Partią na czele, obalając w 1917 roku kapitalistów i obszarników i wyprowadzając narody radzieckie na szerokie szlaki nie spotykanych dotąd przeobrażeń socjalistycznych.

STANISŁAW CZERPAK

Lenin z żoną na spacerze w górach.
(Rysunek M. Kościelniaka)

Felieton tygodnia

NIE PESYMIZM TWORZYŁ HERKULESY

NIE PESYMIZM tworzył Herkulesy... A co? Ja mówię: siła. Oni ironicznie pytają: jaka? Ja mówię z metafora: ducha. Oni zgryźliwie brzęczą, że mięśni. Nie poddaję się, ale rezygnuję z dialogu. Nie dojdę z nimi do ładu, a dojść „do nikąd" nie chcę.

— Masz siłę ducha? — ironizują.

— Mam co innego — odpowiadam bez zdenerwowania — mam optymizm! Chichocą. Wolno im — są młodzi.

Poezjo — podaj im skrzydła!

Papieros. Zapałka.
Dalej — znów
Szlifuj bruk
Tam i z powrotem.
Tu i tam
Mam... Stop.
Mam forsę
Kierunek — Wiarus.
Idziemy
I znowu bruk
I znowu szlif
A szewc kosztuje
Czas jest cenny
Czy Ci nie żal ich?

Nie, nie żal mi ich. Mają wolę, są w połowie czasowej drogi do człowieczeństwa i mają wolność wyboru. Zresztą jest ich niewielu i nie chcą rozumieć.

A z poezją bywa różnie. Czasem miast szczerozłotych skrzydeł przypina drewniane wiatraki, bezużyteczne w locie.

Czy widzisz świat
Świat pustych głów
Wojen, płaczu i wódki
Świat — fata morgana
Głodu i nieszczęść ludzkich
Czy chcesz w nim ginąć

Pytanie ponure ostatniego wiersza podsuwa inne pytanie — czy chcecie ginąć w pesymizmie?

Młody Iks Bed Onsark z Rzeszowa, który przesłał list do redakcji a w nim „próbki" wierszy swego młodego kolegi ma wybitny dar rozpaczania. Bowiem w imieniu rzeszowskiej młodzieży nadaje SOS. Krzyczy, że giną, że stłamsił ich wolę świat pustych głów, wojen i wódki. Pisze, że młodzież chce zapełnić pustkę, chce się zabawić, chce się śmiać. A ja jeszcze z patosem dołożę, że młodość ma prawo do sytego szczęścia.

Ale ironia na bok. Młody człowiek o oryginalnym pseudonimie, mimo odrobiny histerii, ma trochę racji. Histerię ową należy wytłumaczyć przymiotnikiem — młody, racjami zaś zająć się uczciwie. Jedną z nich jest utworzenie klubu młodzieżowego lub jakiejś kawiarenki dla młodych, bez wódki, bez wymyślnych coctailów, za to z radiem, adapterem, stolikami brydżowymi. Jako że to jest sprawa na pewno z gatunku realnych, spróbuję ją rozważyć.

Na długo przed Październikiem (a to właśnie on wyzwolił pęd młodzieży do własnej ważności) przypadkowo znalazłam się w małej kawiarence warszawskiej, której jedynym rysem charakterystycznym byli jej bywalcy — młodzież w wieku „nastu" lat. Bywalcy ściągali tu tłumnie na fajfy, trwające już od 4 popołudniu. Do tego popołudniowego dansingu, potrzebna była kawa, ciastka, wino po 13 zł i 2 grajków (nawiasem mówiąc pod psem) — skrzypek i pianista.

Młodzi byli zachwyceni; z czupryn kurzyła się... trzeźwość i prawdziwy śmiech.

(Ciąg dalszy na str. 3)

Z CYKLU: JESIENIE

JERZY WALAWSKI

gwiazda

kiedyś lecące ptaki
nie wrócą do gniazd
drobne nikłe iskierki
zgasną w powietrzu
wyparują roztopione lodowce
w gaz rozprężą się skały

kiedyś minie chwila
zmierzona blaskiem
poleci księżyc w przestrzeń
strącony z pękniętej orbity

i jeszcze jedną
zobaczy spadającą gwiazdę
nieziemskie dziecko
z odległej planety

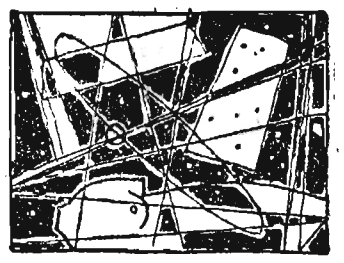

PARK JESIENNY

przepalone słońcem liście
wyścielają kobiercem chodniki
patrz spada
ostatni list
wołający o powrót lata
szeleszczącym krzykiem
nagie szkielety drzew
skarżą się chmurom
wstrząśnięte dreszczem
nadchodzących chłodów
ławki senne w parku
szelest liści pod stopą
patrz spada
ostatni list
wołający o powrót lata.

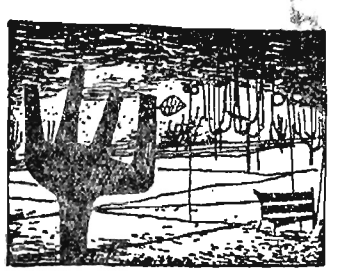

PIERWSZA DWÓJKA

sygnał ostrzegawczy nie tylko w nauce

ODKRYCIE, że dziecko weszło na złą drogę, jest dla większości rodziców prawdziwym wstrząsem. Zastanawiając się wówczas nad własnym postępowaniem, poszukują momentu, który był początkiem groźnego procesu. Nie zdają sobie jednak sprawy, jak nieraz drobne wydarzenia mogą zapoczątkować u dziecka proces deprawacji, nie przypuszczają, że nieraz źródłem mogą być z pozoru takie przyczyny, jak np. niepowodzenia w nauce.

Często pierwsza dwójka powoduje u dziecka zniechęcenie do nauki, nieufność do nauczyciela i szkoły. Po takim pierwszym niepowodzeniu, gdy dzieckiem nikt się serdecznie nie zajmie, może rozpocząć się w jego psychice długi złożony proces, który ma w przybliżeniu następujący przebieg:

Dziecko kierowane poczuciem niższości szuka towarzystwa podobnych dzieci, często już bardziej „zaawansowanych", wobec których nie ma potrzeby wstydzić się swoich niepowodzeń. Coraz niechętniej uczęszcza do szkoły, gdyż przerażają je narastające trudności, których nie potrafi już samo pokonać. Jasne jest, że wówczas kontakt uczuciowy ze szkołą rozluźnia się coraz bardziej.

Powstają sytuacje, w których dziecko w obronie własnej, zaczyna początkowo ukrywać swe kłopoty, a następnie wręcz okłamywać rodziców, zrzucając winę na „niesprawiedliwego" nauczyciela. Jeśli w porę rodzice nie nawiążą kontaktu ze szkołą, następny etap staje się już bardzo niebezpieczny, gdyż dziecko zachęcone dotychczasową bezkarnością zaczyna się „urywać" z lekcji. Tak staje się notorycznie złym uczniem, a nierzadko i drugoroczniakiem.

Dziecko coraz chętniej zamienia sprawiającą mu tyle kłopotu naukę w szkole na przyjemności wagarów. Zresztą „atrakcje wagarowe" są tak pociągające, że ulegają im często także dzieci wykazujące dobre postępy w nauce. Dzięki temu krąg dzieci „zagrożonych" szybko się rozszerza, przynosząc rodzicom wiele przykrych niespodzianek.

Zwalczanie skutków wykolejenia jest zadaniem niezmiernej wagi. Ale nie wolno ograniczać się jedynie do walki ze skutkami. Zadaniem może nawet ważniejszym jest przeciwdziałanie rozszerzaniu się kręgu dzieci zagrożonych demoralizacją. Powinno stać się to jasne dla wszystkich rodziców, wychowawców i nauczycieli, dla polityków i działaczy społecznych, sędziów i kuratorów sądowych, milicji obywatelskiej jak i dla każdego rozsądnego obywatela.

Trzeba zwalczać i usuwać przyczyny złego. Skoro w wielu przypadkach przyczynami tymi mogą być pierwsze u dzieci niepowodzenia w szkole, powinniśmy usuwać warunki powstawania tych niepowodzeń jako przyczyn zła.

Trudności w nauce zaczynają się u wielu dzieci już w pierwszym roku uczęszczania do szkoły. Wskazuje na to chociażby statystyka: około 9% niepromowanych w pierwszej klasie szkoły podstawowej. Czuwanie nad dzieckiem przez rodziców powinno się więc rozpocząć już w tym okresie życia, przy pierwszym potknięciu, a nawet przed nim. To znaczy nie w końcu roku szkolnego, lecz gdy zjawią się pierwsze oceny niedostateczne. Wtedy czujnością i niewielkim zachodem można dziecku pomóc i uchronić je od ewentualnych dalszych etapów wykolejenia. Zrozumiałe jest, że w tym celu konieczna jest ścisła i stała współpraca domu ze szkołą. A tymczasem zdarza się nierzadko, że rodzice obciążają całkowitą odpowiedzialnością za wychowanie własnych dzieci wyłącznie nauczyciela.

Pierwsze lata nauki są dla rozwoju człowieka co najmniej tak samo ważne jak.. dobry start w biegach krótkich. Nauka dziecka w klasie pierwszej jest bardzo ważna i nie należy jej bagatelizować. Jest ona

fundamentem dalszej nauki, a wiadomo, że na słabym fundamencie nigdy nie stanie mocna budowa. Powinni uświadomić to sobie wszyscy rodzice, którzy skłonni są pobłażliwie traktować pierwsze lata nauki swych dzieci, odkładając własną pomoc na lata przyszłe, w ich rozumieniu znacznie trudniejsze.

Pomoc w nauce nie może jednak osłabiać w dziecku samodzielności, lecz powinna ją nieustannie rozwijać. Ci rodzice, którzy wyręczają dziecko w odrabianiu lekcji, wyrządzają mu niedźwiedzią przysługę — tego rodzaju pomoc przynieść może jedynie szkodę. Nie uczy się ono wówczas odpowiedzialności za własną pracę. Uczniowi, za którego odrabiają lekcje dorośli, z roku na rok nauka będzie szła trudniej. Z takich dzieci wyrastają albo gamonie albo cwaniacy wyzyskujący cudzą pracę. Trzeba więc tak dzieckiem kierować, aby chętnie pracowało samo, aby miało ambicję samodzielnego pokonywania trudności. Tylko wówczas, gdy trudności te okazują się zbyt wielkie, należy ingerować — objaśniając i pokazując.

Pamiętajmy, że złe wyniki nauki, drugoroczność, opieka państwa nad dzieckiem już wykolejonym niemało kosztuje. Sumy te wynoszą corocznie kilkanaście miliardów złotych. Można by za nie choćby lepiej wyposażyć szkoły, zbudować wiele nowych. Na nieuctwie i chuligaństwie, które wypływa często z braku dbałości o postępy w nauce dziecka, cierpi rodzina, społeczeństwo i kraj. Przede wszystkim cierpi samo dziecko.

Gdy rodzice nie dbają o naukę dziecka, bo nie mogą, nie potrafią, lub są złymi rodzicami, obowiązek ten spada na całe społeczeństwo. Mądre społeczeństwo organizuje się w tym celu. Organizacje społecznej opieki nad dzieckiem są nam obecnie wyjątkowo potrzebne.

STANISŁAW PAPUZIŃSKI

PUNKT WIDZENIA

LUBIMY z krzykiem, pasją, wrzawą wstępować w gorące spory, znajdywać tysiące dróg wyjścia, być prawie u wrót raju czy też chociażby czyśćca, gdy nagle wszystko ucicha i pozostaje po dawnemu. Podobną połowiczność można obserwować w do niedawna tak dźwięcznie i głośno omawianej sprawie — decentralizacji kultury. Coś uczyniono, stworzono pisma kulturalne, oddano miastom niektóre teatry, ruszyła inicjatywa, zaczęły tworzyć się grupy, kluby, zespoły.

Już wydawało się, że decentralizacja ukaże wszystkie nasze ukryte dotychczas bogactwa. Niestety, decentralizacja odbywa się na zasadzie zamkniętych kółek. Ich fale nieomal nie docierają do centrum.

Spójrzmy na przeglądy tygodniowej i kulturalnej prasy w czołowych pismach o ogólnokrajowym zasięgu, a zobaczymy, że wszystko to, o czym pisze tak zwany teren, pozostaje niezauważone. Posłuchajmy centralnych audycji radiowych o podobnym typie, a zauważymy taką samą sytuację. Jeżeli już coś odnajdziemy z problematyki spoza centralnego kręgu, to będą to artykuły o reliktach przedpaździernikowego czasu, o spekulacji, złodziejstwie i kumoterstwie, albo w ostatecznością — enuncjacje o „egzotyce prowincjalnej", stojące na pograniczu etnografii i krajoznawstwa.

Wygląda na to, iż decentralizacja w kulturze przeprowadzona jak dotychczas środkami administracyjnymi — w szerszym ogólnokrajowym zasięgu — omal nie istnieje.

Decentralizacja kultury nie oznacza jej rozdrobnienia. Powinna ona być czymś w rodzaju licznych potoków kształtujących jedną wartko płynącą rzekę. Po kampanii wstępnej, która w wielu wypadkach umożliwiła opanowanie materialnych środków dla usamodzielnienia się kultury w terenie — trzeba koniecznie stworzyć atmosferę okrągłego stołu, gdzie nikt nie ma większych ani mniejszych praw, gdzie wszyscy posiadają podobne możliwości wypowiedzenia się, a wyróżnia się tylko mądrzejszy, mający coś interesującego do powiedzenia.

WAR

METRYKI... NIE DLA NOWORODKÓW

NA WIDOK tego przemyślnego „barometru pogody" w kształcie oblicza, które raz pokazać można jako gromowładne a za chwilę jako pogodne. Na widok tego kręgu malowanych na paletach wesołych głów otaczających wiankiem ów „barometr", nawet laik stojący zupełnie na uboczu spraw plastyki, orientował się natychmiast, że reprezentacyjna siedziba Liceum w Żukłinie w pow. przeworskim — jest w tej chwili we władaniu plastyków. Gdy zaś barometr odwrócony był „pogodnym obliczem" do góry, można było liczyć śmiało na jak najlepsze przyjęcie. Istotnie przepowiednia pogody spełnia się z dokładnością, której mógłby pozazdrościć Instytut Hydrologiczno-Meteorologiczny: kierownik obozu naukowego sekcji badań plastyki ludowej Państw. Instytutu Sztuki — prof. dr R. Reinfuss — jest w najlepszym humorze, skłonny udzielić przybyszowi wyjaśnień, zapoznać go z członkami obozu, z celem i pracami zespołu...

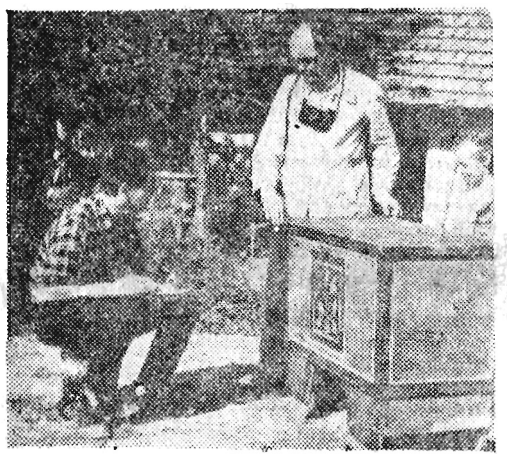

Prof. dr Reinfuss wraz z jednym ze swoich uczniów przy inwentaryzacji skrzyni ludowej w Brzozie Stadnickiej.

Foto — J. ŚWIDERSKI

Już podczas samego aktu prezentacji, który odbywa się w jednej z klas Liceum, gdzie pracują młodzi plastycy i architekci, każdy z nich otrzymuje jakiś epitet czy określenie natychmiast odróżniające go od zespołu. Dla mnie jest to o tyle dogodne, że tych młodych ludzi z grzywkami à la Tytus i tych młodych dam z „ogonami" obowiązkowo rozwianymi na plecach, za nic nie odróżniłabym od siebie. A tak dowiaduję się od razu, że charakterystyczne dla zapadłej przeworskiej wioski połączenia krokwi dachowej rysuje słuchacz V roku Krakowskiej Politechniki — Benhir Enver Abdul Faja, rodowity Albańczyk. Że Tadeusz Kwaśniak, który opracowuje motywy metalowego zdobnictwa sztuki ludowej, jest uczniem Liceum Sztuk Plastycznych z Jarosławia. Że Jankielski, nazwany przez profesora ozdobą Politechniki, wybornie radzi sobie z naukową inwentaryzacją starych zagród, jak tej w Siedleczce, którą właśnie opracowuje. Że dyplomowany plastyk Irma Czarnecka korzystająca z tytułu weterana z racji tego, że po raz siódmy już uczestniczy w obozie z niedościgłą szybkością sporządza rysunki i plany skrzyń, „ślubanków", półek i innych wiejskich sprzętów. Że nasza krajanka z Rzeszowszczyzny Jadwiga Grzebyk, studentka architektury w Krakowie jest specem od opracowania skrzynek ludowych a także ganeczków i innych szczegółów wiejskiej architektury...

W drugiej sali gdzie pracuje grupa etnografów, z przewagą pracowników po studiach już i z tytułami naukowymi — rozmowa i prezentacja toczy się w poważniejszym nieco tonie. Podczas gdy zadaniem plastyków i architektów jest w rysunku i w „kolorze" rozpracować i utrwalić ludową architekturę, ceramikę, meblarstwo, strój, świątki, pisanki itp. regionu Przeworsk — Łańcut — etnografowie, drogą rozmów i skrzętnie notowanych wywiadów w terenie, ustalają tzw. autorstwo. Mówiąc po prostu wykrywają oni czyim dziełem są znalezione tu i ówdzie rzeźby ludowe, wyroby ceramiczne, kute ozdoby żelazne. Z jakich wsi wywodzą się autorzy.

W pracy obozu, tak często powtarzane słowa jak m e t r y k a i i n w e n t a r y z a c j a mają całkowicie odmienny sens aniżeli ten, jaki wiąże się z nimi w życiu codziennym. Pracowite metryki, obszerne i wyczerpujące otrzymują tu nie noworodki bynajmniej, a każda część odkrytego w terenie stroju ludowego, każda skrzynia, każda ozdoba z żelaza. Ba, nawet pisanki a także koniki i inne zabawki ludowe otrzymują tu swoje metryki. A inwentaryzacja — to wręcz naukowy cel obozu! Mapa, którą oglądamy — ma wyznaczone te tereny kraju, na których przeprowadzona już została inwentaryzacja sztuki ludowej. Nasz „kąt" jest prawie pusty. Obóz jest drugim, który inwentaryzuje nasz region. Pierwsza tego rodzaju ekspedycja naukowa bawiła tu w r. 1950 w widłach Wisły i Sanu. Sekcja Badania Plastyki Ludowej, mająca swą siedzibę w Krakowie — jest jedyną, która taką inwentaryzację przeprowadza.

Niezależnie od nowych pozycji, jakie prace zdobyte przez obóz drogą dziesiątek wędrówek i wywiadów wniosą z wschodniej części naszego województwa do wielkiego archiwum sekcji, liczącego około 40 tys. pozycji inwentarzowych, już na gorąco badania rozwiązały i ujawniły szereg ciekawych problemów. Zdobyto wiele materiałów do całkowicie nieopracowanego dotychczas stroju mieszczańskiego z Dynowa i Pruchnika. Wykryto, iż istnieje tu jakiś utajony dotychczas ośrodek skrzyniarski, który wytwarza skrzynie zupełnie inne, aniżeli typowe dla naszych okolic skrzynie lasowiackie. Przed naukowcami stoi więc problem „zlokalizowania" tego ośrodka. Uchwycono w formy naukowej inwentaryzacji wielką zagrodę w Markowej, liczącą 120 lat z dachem na przysłupach, charakterystycznym dla wiejskiego budownictwa tych terenów z ubiegłych stuleci. Rozpracowano dymną, pamiętającą czasy pańszczyzny chałupę w Wierzawicach, w której obecnie buduje się komin (!).

Przez 30 dni obóz inwentaryzował nasz teren, likwidując częściowo białe plamy, jakie w tej dziedzinie stanowimy na mapie. Materiały i przyczynki, które tu uzyskano, wejdą kiedyś do syntetycznej pracy obejmującej całą Polskę. Odnajdziemy je też w specjalnej monografii polskiej sztuki ludowej. Prof. dr Reinfuss — autor rozlicznych publikacji z tej dziedziny jak „Polskie druki na płótnie", „Ludowe skrzynie malowane", „Garncarstwo ludowe" itp. tak mówi o naszym regionie: „Architektura niezwykle zróżnicowana i b. interesująca. Meblarstwo — a zwłaszcza skrzynie malowane i świątki wręcz zaskakujące".

Na razie wielkim autem Państwowego Instytutu Sztuki — metryki, wywiady, tysiące rysunków wiernych aż do każdego kolorowego koralika na gorsecie i do każdego najdrobniejszego nawet załamania wzoru — pojechały do siedziby sekcji w Krakowie. Oby jak najszybciej, wydobyte z archiwalnych regałów, doczekały się zbiorowych, syntetycznych opracowań!

CECYLIA BŁOŃSKA

— No cóż, każdy ma swoją namiętność.

OCIEPKA a NOWOCZESNOŚĆ

SPISAŁA: OLGA SAMARSKA

Teofil Ociepka, długoletni górnik — jest malarzem — amatorem z prawdziwego zdarzenia. We wrześniu w krakowskim Pałacu Sztuki otwarto obok wystawy Nikifora — również wystawę jego prac. Twórczość Ociepki to świat baśni i legendy ludowej zobaczony poprzez mieszczańskie oleodruki. Przedmioty realne kojarzą się tam z tworami wybujałej wyobraźni.

W UROCZYŚCIE granatowym ubraniu, w otoczeniu bardzo inteligentnych pań i panów stoi mistrz — Teofil Ociepka. Jego fantastyczno-baśniowe obrazy wiszą tu w dużej sali tego słynnego budynku zwanego Pałacem Sztuki.

Ociepka: Proszę Szanownego Państwa, opowiem Wam wszystko, od początku. Miałem w młodości przyjaciela, zupełnie niezwykłego człowieka. Grał pięknie na różnych instrumentach, malował i pisał. A jakie książki czytaliśmy wspólnie! Potem, kiedy mieszkał w Niemczech pisaliśmy listy. On był artystą. Pytałem go w tych listach — jakby tu równie jak on zostać artystą? — Wtedy jeszcze nic nie umiałem. To on odpisał — Teofilu, słuchaj, do ciebie przyjdzie duch, kiedy będziesz spał, i ty nauczysz się malować. Czekałem bardzo na tego ducha, który nie przychodził — a czas mijał. Wziąłem więc duży papier (myślałem, że papier będzie najlepszy) i zacząłem malować obraz. Ale nie wiedziałem jak zacząć. Rozpocząłem z lewego rogu; chciałem wymalować wszystko i całą filozofię i przeżycia moje i sny.

Moja natura fantastyczna — chciałem ją odmalować.

Widzicie państwo ten obraz — Droga człowieka — czerwono ubrany pan, rycerz życia idzie do swego celu. O tu już jest dojrzały mężczyzna, tak, i jego niewinność, ten anioł, zostaje daleko w tyle. Teraz czyhają na naszego rycerza same plugastwa. W tym miejscu czart zawiązuje z nim sojusz! Rycerz przechodzi dalej, a tyle jest dróg różnych. Ta prowadzi do lasu, gdzie mieszkają baśnie — tamta nad morze zamyślenia. Jest i grota dla samotników i nad wszystkim tym światem otwiera się niebo. Świeci kielich ze szczerego złota, biały łabędź wzbija się do lotu. Ale nasz rycerz na nic nie zważa, prosto do piekła bieży. To on sam sobie tę drogę wybrał.

I namalowałem piekło. Znam jakie jest uczucie radości, a jakie bólu. To tak, jakby bardzo bolał ząb. Ból staje się silny, już nie można go wytrzymać — to nerwy gniją, rozrywają się na atomy. — Wyobraźmy sobie, że tak strasznie bolą nas wszystkie zęby — i to właśnie jest piekło. Nie myślałem wtedy o ładnych kolorach ani brzydkich — myślałem o bólu.

Wszystkie te potwory, diabły i smoki też sam wymyśliłem. To moje szalone przeżycia. Moja natura mistyczna, okultystyczna... Znam wszystkich kabalistów niemieckich i francuskich, czytałem opowieści stygmatyków. Zawsze szukałem rzeczy ciekawych i nie z tego świata. Takie kształty jakie widzę, to dla mnie za mało — poprawiam je.

A byłem kiedyś nad morzem — fale napływały do brzegu rzędem, jedna za drugą — to było mi za nudne. Dopiero jak wyjechałem kutrem na pełne morze i był sztorm i kołysanie — nauczyłem się, co to są fale. Dlatego na moim obrazie jest brzeg i leżą muszle, ale tuż przy brzegu fale tak tańczą, jak tam, daleko, kłębią się jak cielska morskich potworów, to znów jak języki ognia. Takie są, takimi je widzę.

Kwiat paproci też potrafiłem opowiedzieć. Tyle, że tu nie o kwiat chodzi — kwiat to jest nic. Chcę służyć sile, która dała mi malowanie, bo to jest wiele, bo mogę uczyć ludzi o wszystkim.

Oto jak będzie wyglądał koniec świata — to jest właśnie o atomistyce.

Również przedstawiłem życie na innych planetach które pięknie opisał uczony Jakub Lohrbe — latające krowy z Saturna i lemury na miesiączku.

Spytacie państwo jakie miałem z tym malowaniem radości i niepowodzenia...

Różnie bywało. Śmieli się ze mnie, to i obrazów swych nie pokazywałem. Przez długi czas od 29 roku do końca wojny nie imałem się pędzla — zabili mi inicjatywę, straciłem wiarę—ale jak przyszedł nowy ustrój i rząd polecił szukać artystów ludowych, pani Czajka z Ministerstwa zainteresowała się moją sztuką — prosiła, żebym więcej malował i wystawiał. Ja pracuję nad jednym obrazem po kilka miesięcy, czasem i rok. Jestem przecież maszynistą turbin i maluję po robocie i długo namyślam się nad tym, co robię...

Nasz rząd jest dobry — opiekuje się artystami... Za ten obraz — „Kwiat paproci", dostałem 20 tysięcy nagrody. Różni sławni ludzie zamawiali u mnie obrazy. Proszą też, żebym powtarzał tematy. Raz jeden tylko to zrobiłem.

Krytycy nie dawali mi spokoju. — Panie Ociepka, pan malujesz bajki. To wszystko nieżyciowe i zmyślone. — Jakże, powiadam im, zmyślone, kiedy takie jest moje życie — a wszyscy, którzy nie zrozumieją—to suche drzewa. To nagie drzewo o pokręconych konarach, straszne i martwe jest jak ci ludzie, którzy sami nic nie dają, tylko innym chcą przeszkodzić. W tym miejscu stał drwal z toporem, aby je ściąć. Lecz drwala zamalowałem. To niebezpieczne.

Szanowni Państwo mnie zapytują, co sądzę o współczesnych malarzach, o tych co nie malują postaci, tylko plamy? Ja proszę państwa, oddaję co w duszy mojej było — ale jak wygląda w duszach tych nowoczesnych malarzy? Tego ja nie wiem.

ROZMOWY W KAWIARNI

OCIEPKA jest apodyktyczny, jak rasowy twórca — powiedziała Barbara, słodząc swoje pół czarnej — oto duch, oto materia, tak będzie wyglądał koniec świata! Wątpię, czy ośmieliłabym się twierdzić, jak naprawdę wygląda koniec mojego nosa...

— Bo ty jesteś sceptyczką.

— A mistrz — maniakiem!

— I dlatego mógł stworzyć ten niesamowity świat — koszmarny sen drobnomieszczanina — prosty człowiek, głębie i mroki jego wyobraźni. Magia. Ekstaza maluczkich. Świat poezji, świat niewypowiedzianych tęsknot...

— Stworzył go, lecz nie namalował. Przecież to literatura.

— No, nie wszędzie.

— Zapewne, tam gdzie zapominał o swej misji, gdzie nie czuł się prorokiem ani wizjonerem, w swej prostocie tworzył pyszne partie — jędrne, zwarte, soczyste. Wiele dowcipu, wiele prawdy — anioły mają bladoróżowe buzie i karminowe usteczka — jak podmiejskie ideały. Podróż poślubna — o takim właśnie welonie marzyły dziewczęta hodując mirty w doniczkach na małych okienkach — garnitur pana młodego to szczyt wykwintu. Tak, w tym jest dużo czaru. Ale mistrz chce przewyższyć samego siebie, chce wyjść gdzieś ponad to. Sam nie potrafi, więc daje się prowadzić szarlatanom. Pod ich auspicjami restauruje średniowiecze. A szarlatani Ociepki są pośledniej rangi. Niebezpieczna erudycja — wiedza najwytrawniejszych bredni. Groźne to, bo pogmatwane. Nie wiadomo, gdzie się kończy ludowa legenda, która ma zdrowy sens, gdzie zaczyna pseudonaukowa maligna.

— Cóż, nie każdy dostaje do ręki dzieła klasyków, Barbaro. Mądrzy ludzie długo pielęgnowali twój światły umysł. Jakże się natrudzili, aby wpoić ci ten racjonalny krytycyzm. Przywykłaś posługiwać się nim, jak grzebieniem, jak lusterkiem, jak szminką...

— Och, stajesz się nudny!

— To bardzo kobiecy zarzut.

Barbara wydęła z niesmakiem usta, gotując się do odpowiedzi, gdy Marek, który do tej pory milczał, zabrał głos.

— Czy wiecie o czym myślałem, słuchając Ociepki, gdy stał przed swoimi obrazami i mówił do ludzi, których nie znał? Z jakąż pewnością wykładał on swą zagmatwaną filozofię. Powiedział o sobie wszystko. Świadczył temu, co stworzył w trudzie wielu lat — bo uznał to, jako swój obowiązek.

Pomyślałem więc, że to jest bardzo uczciwa droga — droga, której my pilnie się wystrzegamy.

Tak, my nie lubimy odkrywać twarzy. Boimy się wypaść śmiesznie — milczymy. Mówimy ogólnikami, szukamy dalekich metafor.

A nasza deformowana sztuka! Czy dlatego tylko deformujemy, abyśmy tak czuli? Chcemy, aby niełatwo było nas odczytać. Nas, naszą pustkę, nasze tragiczne pomyłki.

I nie lubimy mówić, że nam smakuje chleb, że nam się podobają kwiaty... Przechodzimy obok drzewa, czujemy pokusę zerwania jabłka, mimo wszystko okrągłego — o tym staramy się nie mówić.

Jak ognia wystrzegamy się pewnych wyznań. To brzmi naiwnie, to nie współczesne — dwudziestowieczne przesądy... Jesteśmy pełni pruderii.

Lecz ja się zapędzam — Marek przypatrzył się twarzom rozmówców — mówię jak apostoł. Macie mnie dość, ech...

Przy stoliku milczało teraz troje ludzi. Barbara uśmiechała się leciutko. Czarna kawa stygła w filiżankach.

Kawiarnia była szarobłękitna — dużo dymu i tłumionych rozmów. Można było słuchać jej szumu, chłonąć zapachy kawy, papierosów, dyskretnej woni perfum, które wiły się tu i ówdzie wąskimi strużkami... Łowić przelotne krzyżujące się spojrzenia. Patrzeć, odczuwać, śledzić oczekujących. (w kawiarni wiele jest oczekiwania).

Marek odczuwał potrzebę mówienia i miał w sobie tyle niewypowiedzianych słów! Tyle słów...

NA PYTANIA ODPOWIADA:

HUGON MORYCIŃSKI

— dyrektor Państwowego Teatru Ziemi Rzeszowskiej

H. Moryciński w karykaturze J. Sienkiewicza

— Jakie zadania stawia sobie zespół Państwowego Teatru Ziemi Rzeszowskiej w bieżącym sezonie teatralnym?

— Ambicją naszego teatru jest przynieść korzyść społeczeństwu. Cel ten chcemy osiągnąć przez odpowiedni repertuar oraz możliwie najlepsze wykonanie artystyczne. Naczelnym zadaniem jest oczywiście zainteresowanie teatrem jak największej liczby widzów, dlatego też w bieżącym sezonie, niezależnie od teatru dla dorosłych i teatru dla młodzieży, zamierzamy uruchomić scenę dziecięcą. Zwrócili się do nas również koledzy aktorzy z propozycją uruchomienia sceny poetyckiej. Zadaniem tej placówki byłoby inscenizowanie najlepszych utworów poetów polskich i zagranicznych.

— Czy równolegle do zamierzeń, pomyślano o odpowiednim repertuarze?

— Naturalnie. Nasz repertuar zasięgiem swym musi objąć przede wszystkim klasykę polską i obcą. Będą to: „Zbójcy" — Schillera, „Pies ogrodnika" — Lope de Vegi, „Nora" — Ibsena, „Balladyna" — Słowackiego i „Walka kobiet" — Screaba.

Jeśli chodzi o pozycje z repertuaru bliższego i współczesnego, to reprezentować go będzie: „Uciekła mi przepióreczka" — Żeromskiego, „Lato w Nohant" — Iwaszkiewicza, „Przygoda florencka" Morstina. Dla dzieci wystawiona zostanie bajka Laurentowskiego „Kot w butach". Warto także dodać, że wystawienie „Balladyny" łączy się z uroczystością przemianowania naszego teatru na Teatr im. Wandy Siemaszkowej, która była pierwszą organizatorką stałego teatru w Rzeszowie.

— Zadania naprawdę duże i dlatego prosimy powiedzieć parę słów o samym zespole.

— Dla wykonania tych niełatwych zamierzeń, kierownictwo teatru powiększyło zespół artystyczny do 44 osób. Nastąpiły również zmiany w dotychczasowym składzie zespołu. Kilka osób opuściło Rzeszów, przenosząc się m. in. do Warszawy, Łodzi, Katowic i Sosnowca. Zaangażowano natomiast Aleksandrę Bonarską i Edwarda Apa z Opola, Elżbietę i Janusza Kilarskich z Olsztyna, Zofię Melecnównę z Bielska, Włodzimierza Miklasińskiego ze Szczecina, Alinę Winiarską z Białegostoku oraz pięciu wychowanków katowickiego Studium Teatralnego: Lidię Dziewórską, Genowefę Wydrych, Aleksandra Polka, Jana Tesarza i Wincentego Zawirskiego.

Niezależnie od wymienionych osób, Maria Karchowska i Krystyn Wójcik z Warszawy, dzielić będą swą pracę w bieżącym sezonie na Teatr Ludowy w Warszawie i teatr rzeszowski.

Uzupełniony i powiększony zespół daje gwarancję rozszerzenia możliwości objazdowych teatru, jak również stwarza możliwości podjęcia realizacji sztuk wymagających dużej obsady.

Rozmawiał:

JERZY PISKOR

Felieton

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Istnieje w Rzeszowie kawiarnia, „Adrią" zwana. Bywalców stałych ma nie za dużo. Przewiduję nawet deficyt. Czy aby nie można spróbować przystosować jej do użytku młodzieży? Jest adapter — parę dobrych płyt — fajfy zapewnione. Amatorów na pewno bez liku. Mam prawo przypuszczać, że nawet ta starsza młodzież, już po dwudziestce chętnie się pokręci w takt czegoś, co tylko przypomina rock and roll.

A gdyby tak jeszcze trochę czasopism, kilka stolików do brydża i szachy — raj dla młodocianych i... dla gastronomów. Zamiast butli z likierami po sto parę złotych, wina owocowe z kawą i ciastkami.

Wracając do Iks Bed Onsarka (strasznie to trudne do zapamiętania) — nie jest tak tragicznie młodzieńcze: z rozsądnymi projektami — rozsądnie postępujemy. Istnieje jednak coś w tym liście, co może przerazić. Zwłaszcza zdanie: „Liczymy, że po otwarciu lokalu zniknie nuda, zniknie pustka". Z nudą zgoda! Ale pustka? Mam olbrzymie wątpliwości co do tego, by lokal mógł zastąpić pustkę ideową, moralną czy naukową. Nie chciałabym także posądzać o nią całej grupy młodzieży, w imieniu której jest powyższa wypowiedź, że jej ideał — to kawiarenka z brydżem i tańcami. Skoro zaś jest inaczej, po co szafować słowem, które zawiera w sobie aż taki ładunek treściowy. Pustka — to „nic". A z „niczym" nie można walczyć, nie można mu zaradzić.

Był taki prąd umysłowy egzystencjalizmem zwany, a Kirkegaard głównym jego wyznawcą (można poczytać). U nas z tego przyjęły się tylko niemyte szyje i ciągoty do bródek. To był nasz polski egzystencjalizm. Rozlubował się w negacji, pesymizmie, ukochał czarne brody i tegoż koloru swetery, natomiast nie przyjął nic z jego rzeczywistych wartości intelektualnych. Pseudo-dyskusje młodych egzystencjalistów to także było „nic". Tylko, że to była pustka w głowach. Jeżeli o takim świecie pustych głów mówi „poeta" w swoim wierszu, który zacytowałam u góry — na to kładę swoje placet, by ów świat naprawdę zniknął.

A Herkulesem to dzisiaj nie zwykliśmy tylko nazywać mięśni Tarzana, bo także i umysł cherlawego ciałem człowieka może go predestynować do tej nazwy. Zaś ponury pesymizm i negowanie wartości intelektualnych, które kształtowały wieki, na pewno takich Herkulesów nie tworzyły. I nie będą tworzyć.

Co, ku przestrodze Iks Bed Onsarkowi (można na tym język złamać), przekazuję.

K. ŚWIERCZEWSKA

Nowe wydawnictwo poezji

wybitnego filozofa

W niespełna pół roku po pierwszym wydaniu, ukazało się ostatnio drugie z kolei wydanie doskonałych epigramatów wybitnego polskiego uczonego, prof. dr Tadeusza Kotarbińskiego, pt. „Wesołe smutki". Cykl tych uroczych czterowierszy — powstających w ciągu ostatnich kilkunastu lat, niejako na marginesie zasadniczej pracy naukowej wybitnego uczonego — nie jest zakończony. Świadczy o tym chociażby fakt, że drugie wydanie „Wesołych smutków" zostało znacznie rozszerzone. „Autor — jak mówi o tym słowo wstępne — przeszukał szuflady i znalazłszy w nich jeszcze to i owo, do zbioru dołączył. Doszły także i wiersze nowe". Jeden z tych ostatnich wierszy nosi datę: 1957.

Ciekawy list z Kanady

OBYWATEL M. K. od dłuższego czasu utrzymuje korespondencję ze swoim znajomym w Kanadzie — p. G. Widakiem. Pan Widak, który pochodzi z Rzeszowa zamieszkał w czasie wojny w Toronto (dokładny jego adres: 22 Northcliffe Blvd, Toronto 10, Ont. — Canada).

Ze swojego ostatniego listu p. Widak pozwolił przedrukować fragmenty, interesujące nasze społeczeństwo, co niniejszym czynimy.

„...Pytasz się — pisze autor listu — dlaczego wielu Kanadyjczyków polskiego pochodzenia pragnie sprowadzić swoich krewnych z Polski?

Otóż, Kanada nie doznała zniszczeń podczas wojny. Robotnicy pracowali przez dwie lub nawet trzy zmiany. W modę weszła praca kobiet w zakładach przemysłu ciężkiego. Kosztem wielkiego wysiłku sporo Kanadyjczyków usytuowało się z tej okazji dobrze. Nic dziwnego, że ci, zwłaszcza zamożni, a przed wojną jeszcze biedacy — chcą pomóc swojemu krewnemu, czy krewnej. Przeważnie kalkulacja polega na tym, że niektórzy wysyłają do Polski dla swych krewnych paczki. Biorąc przeciętnie, koszt 2 paczek z wysyłką wynosi 100 dolarów. Wobec tego lepiej tu sprowadzić krewnego, aby sam zapracował na własne utrzymanie".

W innym fragmencie swego listu p. Widak wspomina o pobycie w Polsce redaktora „Związkowca", pisma polskiego, wychodzącego w Kanadzie.

„...Nie wiem czy spotkałeś się z F. Głogowskim w czasie jego niedawnej wizyty w Polsce. Wśród Polonii Kanadyjskiej odgrywa on rolę wysłannika londyńskiej sanacji. Jej zawdzięcza krzesełko redaktorskie w tygodniku „Związkowiec". Po powrocie z odwiedzin u was był ostrożny; nie mógł swobodnie brykać, bo zawsze znaleźli się tacy Polacy, którzy też byli z wizytą w Polsce Ludowej. Był on natomiast mniej ostrożny przy udzielaniu wywiadu reprezentantowi dziennika liberalnego „Toronto Daily Star". Głogowski napaplał głupstw, powinien teraz z obowiązku i honoru odwołać je, chociażby w tygodniku, który redaguje".

I jeszcze jedna ciekawa „wiadomość" z listu Widaka.

„W Montrealu — pisze autor listu — zmarł ostatni formalny przedstawiciel Polski przedwojennej poseł dr W. Babiński. Podczas pogrzebu przemówił do uczestników gen. K. Sosnkowski (obecnie noszący tytuł „farmer"). Zmarły poseł Babiński dobrze się zasłużył antyludowej sprawie przez prowadzenie roboty nieprzychylnej dla Ojczyzny. On to z innymi radził zatrzymać w Kanadzie cenne zabytki polskie (arrasy itp.)".

Postanowiliśmy zwrócić się do p. Widaka z prośbą, aby napisał dla „Nowin Tygodnia" artykuł traktujący o życiu kulturalnym Polaków w Kanadzie.

● drobiazgi ● miniaturki ● drobiazgi ● miniaturki ● drobiazgi ● miniaturki ●

Danielle Darieux

Dziennikarka francuskiego tygodnika Filles de France przekazała czytelnikom słowa, które wypowiedziała Danielle:

„Jestem przede wszystkim kobietą. Wyznaję więc bez wstydu, że przekładam swe życie osobiste nad swój zawód. I jeżeli miałabym kiedykolwiek wybierać, pozostałabym w domu".

Fenomen czy antytalent? Ani jedno, ani drugie. Po prostu Danielle Darieux zalicza się do tego typu aktorek, które nie znoszą wrzaskliwej reklamy, które potrafią bez jej usług podbijać świat. Danielle więc nie jest gwiazdą, jest tylko aktorką, zawdzięczającą sławę przede wszystkim ogromnemu talentowi dramatycznemu. Jest do tego jedną z najskromniejszych aktorek. Przykładem jej rola w filmie amerykańskim „Życie Aleksandra Wielkiego", gdzie zagrała matkę tytułowego bohatera. Nie jestem pewna, czy zechciałaby zagrać taką rolę Marlena Dietrich... Zapomniane są dziś już tytuły filmów pierwszych Danielle Darieux, która zadebiutowała w „Balu", mając lat 13. Pamięta się tylko typ uroczego podlotka, jaki stworzyła, i z którego czerpały wzory pensjonarki...

Stąd chyba wzięło początek powiedzonko o wielkiej aktorce — „kobieta bez wieku".

CO UJRZYMY na EKRANACH

LUDZIE I KAPRALE

Film Camillo Mastrocinque — popularnego we Włoszech, nieznanego u nas reżysera — to coś w rodzaju lirycznej i smutnej groteski. Już sam tytuł i zawarta w nim koncepcja podziału ludzi na rzeczywistych ludzi i na kaprali, którzy niewiele znacząc, potrafią swoją głupotą i wyimaginowaną ważnością zatruwać nam życie, nosi w sobie piętno pomysłów wielkiego Chaplina. — Mimo że „Ludzie" mają wiele dłużyzn i można im zarzucić brak jednolitości w koncepcji, są one filmem, który zmusza do refleksji. Jeżeli dołożyć do tego kreację znanego komika Toto, — film ze wszech miar godny obejrzenia.

CZARNY RYNEK W PARYŻU

Już sam niezdarnie przetłumaczony tytuł budzi zastrzeżenia. A travers de Paris (Poprzez Paryż) ma ambitne zadania i tyle ambitnego, co znanego reżysera Autant-Lara. Komedia na ponuro, nielegalne mięso w walizach, które taszczą dwaj Francuzi w okupacyjną noc, to właśnie treść filmu. Jedyną chyba jego atrakcją jest, jak zawsze — Gabin.

SPRZED ĆWIERĆWIEKU

CO PISAŁA PRASA RZESZOWSKA W ROKU 1931

W czwartek między godziną 8 a 9 przejeżdżał przez Rzeszów własną limuzyną „Mercedes" znany tenor J. Kiepura. Po półgodzinnym zatrzymaniu się w „Bufecie Warszawskim" odjechał w kierunku Lwowa.

* * *

Z górą przed 40 laty wychodziły w Rzeszowie trzy pisma: „Przegląd Rzeszowski", „Kurier Rzeszowski" i „Tygodnik Rzeszowski". W owych czasach przepisy prasowe austriackie wymagały przy wydawaniu pisma tygodniowego złożenia dużej kaucji administracyjnej. Redakcja dwóch pierwszych pism w ten sposób obowiązek ten obeszła, że wydawała na przemian co drugi tydzień raz „Przegląd Rzeszowski" — raz „Kurier Rzeszowski". Jednak belzebub czuwał nad prawem austriackim i pobałamucił ostrożność redakcji, która felieton rozpoczęty w „Kurierze", drukowała w dalszym ciągu w „Przeglądzie", a tym samym obu pismom odjęła charakter dwutygodników, robiąc z nich faktycznie jeden tygodnik.

* * *

Znany teatr warszawski „Ateneum", mający za sobą piękną tradycję, jako teatr objazdowy, przyjeżdża do Rzeszowa w dniu 21 bm. ze sztuką Johna Galsforthy'ego pt. „Gołębie serce" w roli głównej ze Stefanem Jaraczem, a zarazem reżyserem sztuki. Teatr przyjeżdża specjalnymi wagonami z pełnym kompletem dekoracji, w których sztuka była grana w Warszawie.

* * *

Koncerty z płyt gramofonowych z elektrycznym głośnikiem na ulicy 3 Maja urządza codziennie cukiernia „Ziemiańska", w godzinach wieczornych, znajdując licznych słuchaczy, którzy z przyjemnością powitali tę innowację w Rzeszowie.

(zebrał J. p.)

Obyczaje

Spory literackie, rzecz sama w sobie jak najmniej zdrożna, rzecz pożyteczna, potrzebna. Taką jest ona jednak wówczas, kiedy przedmiot sporu jest jasny, kiedy wiadomo o co idzie, kiedy wybitni czy mniej wybitni pracownicy pióra walczą o poglądy. Tymczasem u nas modna stała się walka na epitety i przykrawanie cytat. Zaledwie umilkły echa niesympatycznego pamfletu Sandauera contra Rudnicki, kampanii Omnes contra Budzyk, na arenie zjawił się dwaj panowie „S" w walce obfitującej w ciosy poniżej pasa. Cały mecz rozgrywany jest nie tyle o rzecz świętą, ile o śniętą, a więc o polski futuryzm sprzed lat trzydziestu paru, obchodzący dziś niezbyt wiele osób. Pięknie, że znajdujący się w całkowicie dojrzałym wieku panowie Słonimski i Stern znajdują w sobie tyle młodzieńczej pasji, gorzej, że trawią drugą młodość na niewybrednych polemikach i inwektywach, okraszając obficie szpalty gazet domową kłótnią. No cóż — zjawiły się na powrót nienajlepsze obyczaje, które niektórzy chcieliby przyrównać do walki ze stanowiskiem „świętości nie szargać". Niestety, trudno znaleźć w tym szarganiu jakieś „świętości", no i normalny, mogący cokolwiek dać, sens.

KNUT HAMSUN GŁÓD

„Było to w czasach mego głodowania i włóczęgi po Christianii, owym mieście, które każdego musi naznaczyć swym piętnem"...

Tymi słowami otwiera norweski pisarz Knut Hamsun swe dzieło, które będąc jego debiutem (1890) stało się jednocześnie zaczątkiem późniejszej sławy i pierwszym krokiem do napisania „Błogosławieństwa ziemi", za które Hamsun otrzymuje Nagrodę Nobla. Temat zwykłego, codziennego głodu człowieka, jest co najmniej szokujący. Trzeba tu nie lada pióra i hartu woli, dyspozycji obiektywnego obserwatora, by móc notować stany fizjologiczne i łączyć je z beznamiętnym opisem doznań duchowych. Trzeba tu także doświadczenia i możliwości ekspresji artystycznej.

Dramatyczne wędrówki udręczonego człowieka po spokojnym i sytym mieście, jego zetknięcie się z nieubłaganą walką o byt, jakieś uczucie beznadziejności egzystencji ludzkiej — wszystko to przybija czytelnika pesymizmem i niewiarą. Tym bardziej nieoczekiwanym momentem będzie optymistyczne zakończenie „Głodu", kiedy bohater zrzuci z siebie ciężar przebytego piekła i odjedzie w inny świat. Nie rezygnując — postanawia doprowadzić walkę do końca.

Wydawnictwo Poznańskie rozpoczęło obecnie cykl powieści pisarzy skandynawskich, którzy stanowią arcyciekawą odrębność artystyczną w literaturze światowej.

Nieprzyzwoity chwyt

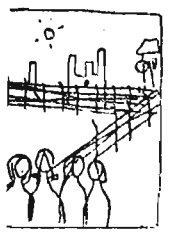

W audycji „Wolnej Europy" pani, występująca pod nazwiskiem „Mieczkowska", mówiła niedawno o społecznej działalności instytucji, w której pracuje. Jako przykład podała m. in. zorganizowanie kolonii dla dzieci polskich przez Zjednoczenie Uchodźców Polskich w Niemczech przy pomocy „Wolnej Europy".

— To bardzo ładnie z ich strony — powiecie.

— Pewnie.

Ale kolonię tę urządzono w dobrze Polakom znanej skądinąd miejscowości, leżącej w pobliżu Monachium — w Dachau.

— No i co dalej? — zapytacie.

Otóż to, że pani Mieczkowska z „Wolnej Europy" dopatruje się w tym symbolu... I w tym momencie człowiek się skręca!

Komu, jak komu, ale „Wolnej Europie" nie wolno operować takimi symbolicznymi zestawieniami, jak Dachau i kolonia wakacyjna dla dzieci polskich. Tej „Wolnej Europie", która działa na terytorium NRF i której jednym z zadań jest rehabilitacja właśnie Dachau, Majdanków, Oświęcimiów...

A chwyt z dziećmi jest w tym wypadku wręcz nieprzyzwoity.

Notki — plotki

W jednym z powiatów woj. rzeszowskiego, jedna z bibliotekarek, w jednej z czytelni, Brantome'a „Żywoty pań swowolnych" trzymała pod ladą. Tłumaczyła się tym, że niesposób pokazać takich bezeceństw czytelnikowi.

I co by powiedział na praktyki owej pani żartowniś Brantome, który właśnie gwoli uciesze zacnych białogłów pisał swe urocze przypowiastki?...

* * *

Jak nas dochodzą słuchy, nowy dyrektor WDK ma dziesiątki projektów usprawnienia pracy tej placówki. Jednym z nich jest utworzenie maleńkiego kabaretu z kawiarenką oraz czytelni czasopism zagranicznych. Wielce nas to cieszy, tym niemniej złośliwi twierdzą, że coś tam z pismami nie jest w porządku, że jest za mało atrakcyjnych tytułów zagranicznych. Podsuwamy więc, że lepiej późno zamówić te pisma, niż wcale...

* * *

Rozpleniła się ostatnio groźna w skutkach dla kinomanów plaga. Długo oczekiwane filmy, wielce szanowne skądinąd przedsiębiorstwo pod nazwą „Estrada" gwałtownie stara się poprzedzić wszelkiego rodzaju imprezami (ostatnio występy iluzjonistów). Niestety jest to naszym skromnym zdaniem — łączenie nieprzyjemnego z pożytecznym: wyciąganie 7,50 zł z kieszeni kinomana i realizowanie planu „Estrady".

Jeżeli kilku aktorów czy iluzjonistów chce urządzić imprezę, zawsze im to wolno, niemniej nie popierajmy mierniot, osłaniając jej występy ciekawymi filmami.

• • •

Należałoby przypomnieć miłośnikom literatury, że istnieje w Rzeszowie, bez mała od roku, Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza. Zapoczątkowało ono swoją działalność powakacyjną odczytem Henryka Brezy z Warszawy „Literatura w kręgu egzystencjalizmu".

Odczyt poświęcony Sartre'owi, Camusowi, Kuncewiczowej i Simone de Beauvoir akurat zbiegł się z wydaniem interesującej powieści tej przedstawicielki francuskich egzystencjalistów.

Ze względu na skandal, jaki wywołała książka Simone de Beauvoir, na ciekawe problemy, nurtujące jej środowisko w latach powojennych — „Mandaryni" są atrakcyjną i pożądaną pozycją edytorską.

INICJATYWA

Szanowny Redaktorze!

Niedawno wróciłem z Warszawy, gdzie miałem możność uczestniczyć w jednym z najbardziej ciekawych przedsięwzięć naszych czasów. Otóż stołeczne TWP utworzyło, dostępny każdemu, Uniwersytet Powszechny. Pomysł godny podziwu; źródło przyjemności i pożytku dla starych i młodych.

Z nieśmiałą nadzieją proponuję to piękne nowatorstwo rzeszowskiemu zarządowi TWP.

Serdeczne pozdrowienia

J. H. z Rzeszowa

P. S.

Wiemy, że rzeszowskie TWP ostatnio mocno zaangażowało się do pracy przy rozwijaniu działalności uniwersytetów ludowych. Nowe przedsięwzięcie, o którym pisze powyżej nasz czytelnik, wymagałoby zastanowienia się i przeanalizowania realnych możliwości Towarzystwa.

Jerzy Sienkiewicz

Pan Kreska

w przestworzach

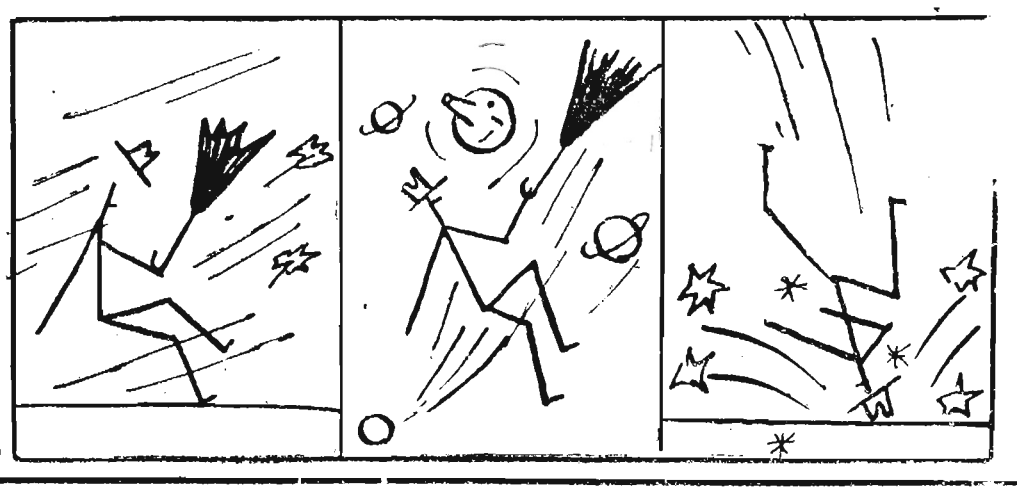

najkrótsza RECENZJA

Po wyjściu z filmu „Nieznośna dziewczyna", w którym główną rolę odtwarza Brigitte Bardot, miłośnik Sztaudyngera zapewne, tak sformułował najkrótszą recenzję, jaką zdarzyło mi się w życiu usłyszeć:

Lepszy cyc
niż nic.

● miniaturki ● drobiazgi ● miniaturki ● drobiazgi ● miniaturki ● drobiazgi ●